

Recenzje i przeglądy
NAJNOWSZA BACHTINOLOGIA¹

Nieczęsto się zdarza, by nazwisko myśliciela lub uczonego dawało nazwę kierunkowi badawczemu. Tak jednak rzeczy mają się z Bachtinem. Współcześnie bachtinologia stała się już odrębną dyscypliną badawczą, bardziej zresztą popularną w krajach zachodnich niż słowiańskich, gdzie rodzimi bachtinologowie poznają arkana nowej nauki zazwyczaj za pośrednictwem autorytetów z Paryża czy zza Atlantyku. Najnowsza polska bachtinologia nie stanowi w tym względzie wyjątku. Dwie ostatnio wydane w Polsce książki o Bachtinie — Aleksandra Woźnego oraz Bogusława Żyłki — pokazują, że jego polski odbiór bywa dziś na ogół „recepcją recepcji”: bardziej powielaniem zdawkowych wyobrażeń o Bachtinie funkcjonujących w literaturze przedmiotu niż poszukiwaniem Bachtina źródłowego, na przekór interpretacjom rozpowszechnionym, aczkolwiek powierzchownym, jednostronnym lub wręcz fałszywym. Być może powyższa ocena żąda zbyt wiele od polskich autorów. Dzisiejsza bachtinologia jest już wprawdzie dyscypliną badawczą, ale nie jest jeszcze nauką w pełni dojrzałą, krytyczną, ścisłą i pewną. To wiele tłumaczy, wiele usprawiedliwia. Dla wielu ciągle jest ona pretekstem do wyznań lirycznych i deklaracji światopoglądowych. Co robić, wypada się z tym pogodzić: serce ma swoje racje, których rozum i tak nie pojmie...

Książka Woźnego z rozmachem zapowiada się długim tytułem: *Bachtin. Między marksistowskim dogmatem a formacją prawosławną. Nad studium o Dostojewskim*, co ukazuje wpływ plakatu reklamowego na strony tytułowe wydawanych dziś książek. W rzeczywistości zakres omawianej rozprawy Woźnego jest nieporównanie węższy. Utrzymuje ona mianowicie, że idea Bachtinowskiej metalingwistyki wywodzi się z prawosławia i tym samym zajmuje się jednym ze szczegółowych aspektów V rozdziału książki Bachtina *Problemy poetyki Dostojewskiego*. Dlatego ów „rozmach” pracy Woźnego sprowadza się głównie do pominięć. We *Wstępie* zapowiada więc Woźny, że „pominie” związki Bachtina z „rosyjskim i radzieckim kontekstem literaturoznawczym i językoznawczym” oraz z „kulturą Zachodu” (s. 6). Pomija też całą pozostałą — poza *Problemami poetyki Dostojewskiego* i wcześniejszą wersją tej książki z 1929 r. — twórczość Bachtina, a także bliskie mu prace firmowane nazwiskami Pawła Miedwiediewa i Walentyna Wołoszynowa. Pominięcia dotyczą

¹ A. Woźny *Bachtin. Między marksistowskim dogmatem a formacją prawosławną. Nad studium o Dostojewskim*, Wrocław 1993, Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, ss. 182; B. Żyłko *Michał Bachtin. W kręgu filozofii języka i literatury*, (Sopot) 1994, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, ss. 235.

zresztą nawet wielu zagadnień istotnych dla samej metalingwistyki, takich jak krytyka pojęć i koncepcji lingwistycznych przenoszonych mechanicznie do poetyki i stylistyki, typologia słowa powieściowego czy sama teoria stosunków dialogowych, wyodrębniająca stosunki te na tle relacji gramatycznych i przedmiotowo-logicznych, odsłaniająca ważne zjawiska w dziedzinie porozumiewania się. Pominięcia ułatwiły niewątpliwie Woźnemu przeprowadzenie jego tezy naczelnej: usunął on bowiem wszystko to, co ją podważa.

Z brawurą zapowiada Woźny we *Wstępie*, że zajmie się — można by sądzić, iż w rewanżu za dokonane redukcje — „formacją”, która „najpełniej kształtuje wizerunek autora studium o Dostojewskim” (s. 6). Okazuje się jednak, że „formacja” ta — po dokonaniu kolejnych pominięć — sprowadza się ostatecznie do dwóch teologów prawosławnych: Pawła Florenskiego oraz Siergieja Bułgakowa. „Wkroczyć na drogi uczęszczane przez teologów — wyznaje Woźny — ryzykowna to decyzja dla literaturoznawcy. Nie można jednak, nawet za cenę uproszczeń, nie przyjąć tego wyzwania” (s. 7). Trudno oczywiście kwestionować tę decyzję autora, aczkolwiek w powszednim toku rzeczy literaturoznawca powinien zajmować się kontekstem literaturoznawczym, teolog teologicznym, a nie odwrotnie. To ze wszech miar „ryzykowne” postępowanie autora potwierdzają kolejne wyznania. Otóż przyznaje on szczerze, że „nie ma w tekstach Bachtina najmniejszej wzmianki o formacji prawosławnej” (s. 8), że „w żadnym tekście Bachtina nie znajdziemy wzmianki o Bułgakowie” i „próżno także szukać odwołań do Florenskiego” (s. 53). Mimo że w tekstach Bachtina, jak to sam potwierdza Woźny, nie występują choćby „najmniejsze wzmianki” o tzw. formacji prawosławnej, Bułgakowie i Florenskim, w niczym to jednak nie przeszkadza naszemu autorowi głosić, że owa „formacja prawosławna”... „najpełniej kształtuje wizerunek autora studium o Dostojewskim”. Woźny domaga się, by czytelnik uwierzył w d o w ó d z n i e b y t u: że coś istnieje właśnie dlatego, że nie istnieje. Trzeba jednak zauważyć, że dowód tego rodzaju pozwala uzasadnić i przyjąć dowolne twierdzenie. To prawda, życie należy sobie ułatwiać, ale w tym wypadku wydaje się on mimo wszystko ułatwieniem nadmiernym.

Aleksander Woźny nie poprzestaje jednakże na ambitnym zamiarze „przetworzenia teologicznej tradycji [...] na potrzeby refleksji nad literaturą” (s. 128). Wkracza również na drogi uczęszczane przez polityków. Kolejną rewelacją książki jest bowiem u p o l i t y c z n i e n i e Bachtina, w czym zresztą autor naśladuje jedną z wielkich gwiazd współczesnej polskiej teorii literatury. W rozważaniach Woźnego Bachtin wyrasta na czołowego opozycjonistę w byłym Związku Radzieckim. Zamienia się pod piórem omawianego autora w rosyjskiego i prawosławnego Konrada Wallenroda walczącego

udawanym serwilizmem (!) i podstępem z narzuconym siłą „kontekstem zniewolenia” (eufemizm ten oznacza Rosję po 1917 r.). „Miniony, zamknięty przemocą etap kultury — oznajmia Woźny — jest macierzystym kontekstem rozprawy Bachtina. Kontekst aktualny — to stan zniewolenia: «pozbawiona błogosławieństwa ziemia», «odarte z wolności niebo»” (s. 102). Jeśli z twierdzenia tego miałyby wynikać, że Rosja carska przed rokiem 1917 była „ziemią błogosławioną” oraz „niebem wolności”, to Woźny byłby tu rzeczywiście odkrywcą oryginalnym i rzadkim. Pozostańmy jednak przy Bachtinie, właściwym temacie recenzji.

Związkom Bachtina z „kontekstem zniewolenia” poświęca autor całą III część pracy, metoda demaskowania zaś tego kontekstu w *Problemach poetyki Dostojewskiego*, niestety, bliźniaczo przypomina metodę zastosowaną do ujawnienia tzw. formacji prawosławnej. Do zadań demaskacji — po wyeksplorowaniu teologów prawosławnych w części II — Woźny zaprzął tym razem dogmatycznych krytyków marksistowskich, głównie M. Starienkowa, recenzenta Bachtina z 1930 r., oraz A. Dymszyca, jego zoila z 1964 r. Krytycy ci, jak pisze Woźny, „dostrzegali w rozprawie o Dostojewskim zamach na prawdy marksistowskiego dekalogu” (s. 115) oraz oskarżali Bachtina o „uprawianie wrogiej ideologii, której marksistowska nauka nie może tolerować” (s. 100). Myliłby się jednak ten, kto spodziewałby się, że Woźny pokaże niestosowność tego rodzaju zarzutów wobec *Problemów poetyki (twórczości) Dostojewskiego*. Myliłby się, gdyby sądził, że autor pragnie wydobyć naganny proceder szukania treści politycznych w naukowej książce z dziedziny poetyki oraz przedstawić mechanizm zamiany tekstu naukowego na polityczny i wynikające stąd szkody.

Otóż Woźny — zupełnie odwrotnie niż można by oczekiwać — aprobeuje i praktykuje tego rodzaju zamianę. Oskarżenia dogmatycznych krytyków pod adresem Bachtina stanowią według niego koronny dowód na to, że interpretacja Dostojewskiego ma „wymiar pozaliteraturoznawczy” (tamże). Podobnie jak Starienkow czy później Dymszyc, Woźny dostrzegł u Bachtina niemal wyłącznie „uprawianie ideologii” oraz „zamach na prawdy marksistowskiego dekalogu”. W obu tych wypadkach uznano mniej więcej zgodnie, że autor książki o Dostojewskim jest kimś w rodzaju p o l i t y c z n e g o a g i t a t o r a, jego zaś dzieło stanowi jedynie zręczny naukowy i literaturoznawczy kamuflaż, w którym chodzi o cele inne aniżeli w nim zadeklarowane. Dogmatyczni krytycy uważali cele te za nieczne, Woźny zaś, przeciwnie, uważa je za zacne. Przypisując wspólnie Bachtinowi zamiar dokonania „zamachu na prawdy marksistowskiego dekalogu”, pierwsi go potępiali, wrocławski zaś autor go pochwała.

Mimo tej lustrzanej odwrotności ocen Woźnego i dogmatycznych krytyków, ten pierwszy jest w pełni świadom zaciągniętego przez siebie długu wdzięczności u tych ostatnich. Dlatego

Woźny nie szczędzi pochwał dogmatycznym recenzentom Bachtina. „Interpretacjom przedstawionym w recenzjach — wyznaje — przyznaję doniosłą rolę”, „...akceptuję dokonane przez nich rozpoznanie”, „uznaję poprawność diagnozy stawianej przez doświadczonych działaczy partyjnych, szczególnie czułych na «przeżytki» epoki, w której grzebaniu wykazali znaczną aktywność” (s. 100–101). Zadanie własne Woźny, rzecz jasna, pojmuje przeciwnie, jako odgrzebywanie przeżytków, ale grzebanie i odgrzebywanie mają, prawdę mówiąc, wiele ze sobą wspólnego. Dokonana przez niego zamiana nauki o literaturze na teologię i politykę niewątpliwie grzebie tę pierwszą definitywnie. Stosuje się to również do Bachtina i książki o Dostojewskim.

Praca Bogusława Żyłki wykazuje niektóre cechy zbieżne z poprzednią, choć z pewnością wydaje się bardziej wyważona i ostrożna. Życiorys Bachtina ocenia Żyłko w kategoriach politycznych jako „symboliczną biografię rosyjskiego niezależnego intelektualisty, który znalazł się w rzeczywistości sowieckiego totalitaryzmu” (s. 10). Mimo że rozprawa Żyłki nosi podtytuł *W kręgu filozofii języka i literatury*, autor nieoczekiwanie stwierdza w *Zakończeniu*, że w „centrum Bachtinowskiego projektu humanistyki znajduje się filozofia czynu i podmiotu moralnego” (s. 187). Cokolwiek by rzec o tym uogólnieniu, nie wynika ono z tematu książki oraz rozważań autora. Zjawia się w niej w sposób przypadkowy, nieumotywowany. Jeśli chodzi o mój własny pogląd, sądzę, iż uogólnienie takie stosuje się ewentualnie jedynie do najwcześniejszych — z reguły brulionowych i nie autoryzowanych — szkiców Bachtina. Studia nad twórczością i poetyką Dostojewskiego, *Słowo w powieści* (1934–1935) oraz książka poświęcona Rabelais’mu przeczą takiemu uogólnieniu. Z kolei przenoszeniu cech okresu wczesnego na okresy późniejsze powinno towarzyszyć uzasadnienie takiego postępowania, a tego u Żyłki brak. Trzeba też zauważyć, że pochopne i dowolne uogólnienia — sprzeczne ze stanem badań — podważają zaufanie czytelnika do innych twierdzeń autora i obniżają wartość książki.

Innym przykładem pochopnego uogólniania jest twierdzenie Żyłki, że „wiek XIX i XX to okres, w którym dokonała się swoista degradacja czynu w myśli filozoficznej” (s. 65). Nie mam tu zamiaru podawać w wątpliwość kompetencji filozoficznych Żyłki, wypada jednak zauważyć, iż jeśli się mówi o „degradacji” czegoś w całym „XIX i XX wieku”, to należałoby wskazać epokę, w której następował zdaniem twierdzącego wzlot czynu w myśli filozoficznej. Żyłko jednak na ten temat milczy. Tymczasem, jak to się przyjmuje zwykle w literaturze przedmiotu, wiek XIX i XX cechuje wielka obfitość rozmaitych filozofii czynu. Problematykę czynu silnie eksponują: wywodząca się ze źródeł fichteńskich filozofia romantyczna, lewica heglowska z młodym Marksem na czele, a zwłaszcza tzw. narodowa

filozofia polska, zwana także filozofią czynu (dość przytoczyć nazwisko Augusta Cieszkowskiego). Czyn jest zawołaniem całej bez mała polskiej literatury romantycznej (Kraśińskiego, Mickiewicza, Norwida, Słowackiego). Kolejnym objawem filozofii czynu w XIX i XX w. może być pragmatyzm filozoficzny. Czyn był także niezwykle popularny w neoromantyzmie, m.in. jako jedna z konsekwencji nietzscheizmu i neoheglizmu. Jaki więc sens ma twierdzenie, że „wiek XIX i XX to okres, w którym dokonała się swoista degradacja czynu w myśli filozoficznej”? Jeśli miało ono na widoku wywyższenie Bachtina jako twórcy czegoś niezwykle oryginalnego w dziedzinie filozofii, to Żyłko osiągnął w ten sposób skutek odwrotny do zamierzonego.

Jednego z niedostatków omawianej książki upatruję w tym, że jest ona wobec Bachtina wyznawcza i bezkrytyczna. Potwierdza to zresztą sam autor, przyznając się do napisania jej „bez dystansu” (s. 33). Składa się ona niemal wyłącznie ze streszczeń poszczególnych rozpraw Bachtina, co Żyłko nazywa wykwintnie „wykładem immanentnym, nie odbiegającym zbyt daleko od ducha i litery pism Bachtina” (s. 32). Lecz trudno mi pojąć, dlaczego Żyłko streszczenie nazywa „badaniem ergocentrycznym”. Być może „ergocentryk” brzmi bardziej elegancko niż „streszczacz”. Jeśli jednak Żyłko woli tytuł ergocentryka, to, oczywiście, można mu go przyznać, chociaż nie zmieni to niczego w naturze rzeczy. Ale ta przewaga streszczeń („wykładu immanentnego”) powoduje, że w książce Żyłki widzę bardziej pracę popularyzatorską niż naukową. W tym względzie należy jednakże zgłosić jedno istotne zastrzeżenie.

Praca popularyzatorska odwołuje się z samej swej istoty do faktów ustalonych i pewnych. Żyłko tymczasem — w moim odczuciu — odchodzi od tej zasady. Dotyczy to sposobu, w jaki cytuje on prace Wołoszynowa (chodzi głównie o *Marksizm i filozofię języka*) oraz Miedwiediewa (*Formalną metodę w nauce o literaturze*). Okazuje się bowiem, że Żyłko cytuje je jako należące do Bachtina. Cokolwiek by jednak powiedzieć o współudziale Bachtina w napisaniu obu tych tekstów, sprawa ich atrybucji jest ciągle otwarta i sporna. Jej rozstrzygnięcie nie może być kwestią wiary, lecz musi wynikać z naukowej, bezstronnej analizy, z niepodważalnych faktów i mocnych argumentów. Tych ostatnich Żyłce ewidentnie nie staje. Tak poważnej decyzji jak atrybucja tekstu (ściślej, zmiana atrybucji) na słowo honoru lub przez powołanie się na autorytety W. Iwanowa czy K. Clark i M. Holquista podejmować nie można. Autorytety, jak wiadomo, nierzadko błędzą.

Wiążący jest tu przede wszystkim fakt, że: 1) sam Bachtin, o ile wiadomo, przypisywanych mu tekstów Wołoszynowa i Miedwiediewa nie autoryzował, chociaż mógł to uczynić wielokrotnie i bez przeszkód, 2) sporne prace Wołoszynowa i Miedwiediewa — mimo

licznych zbieżności z wczesnymi tekstami Bachtina — różnią się od nich filozoficznie i światopoglądowo, głównie programowym i głębokim materializmem o zabarwieniu socjologicznym i historycznym. Jeśli Bachtin — nawet po latach — do tekstów wydanych pod nazwiskiem Wołoszynowa i Miedwiediewa się nie przyznawał, to z pewnością istniały ku temu powody. Nasuwa się pytanie, czy wolno tę wolę autorską Bachtina tak po prostu zignorować. Mechaniczne cytowanie Wołoszynowa i Miedwiediewa jako Bachtina — bez wyboru i krytycznej oceny (konkordancji) cytatów — rodzi niebezpieczeństwo, że przypisuje się Bachtinowi poglądy, które jego własnymi nie były. Żyłko tego zagrożenia nie uwzględnia.

W omawianej sprawie istnieje również inna subtelność. Skreślanie nazwisk Wołoszynowa i Miedwiediewa z kart tytułowych wydanych przez nich książek i wstawianie na to miejsce Bachtina budzi wątpliwości natury etycznej. Uprawdopodobnienie udziału Bachtina w powstaniu tych książek to jeszcze nie to samo, co wykluczenie i skazanie na śmierć cywilną ich dotychczasowych, prawowitych autorów. Pragnienie zapisania się w bachtinologii czymś niezwykłym nie powinno być tak silne, ażeby zmierzać do celu — po trupach Wołoszynowa i Miedwiediewa.

Bachtinologia jest rzemiosłem trudnym. W recenzowanych książkach wykazywałem głównie ich błędy, ale przecież na błędach — uczymy się wszyscy. Nie błędzą tylko ci, którzy niczego nie robią: zresztą, czy rzeczywiście nie błędzą?

Edward Kasperski